



Kryminał z myszką

7

ZEGAR ŚMIERCI

Detektyw
Rafał
Królik
na
tropie

Antoni
Marczyński

Antoni Marczyński

ZEGAR ŚMIERCI

DETEKTYW RAFAŁ KRÓLIK NA TROPIE

Kryminał z myszką – Tom 7

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-70-0

Copyright © Leopold René Nowak

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS TREŚCI

- I. STRASZLIWY CIOS
 - II. NIEZBITY DOWÓD WINY
 - III. PRASA MA ŻER
 - IV. RAFAŁ JUŻ NA TROPIE
 - V. TAJEMNICZY WYBUCH
 - VI. POWÓD PRZERAŻENIA
 - VII. DETEKTYW POD OBSERWACJĄ
 - VIII. RAFAŁ SZUKA DZIECKA
 - IX. WYROK ŚMIERCI
 - X. SZATAŃSKI PLAN
 - XI. FIGIEL LOSU
 - XII. DWÓCH ZŁODZIEJASZKÓW
 - XIII. PASAŻER NA GAPE
 - XIV. SPOWIEDŹ „NIEBOSZCZYKA”
 - XV. ZA PÓŁ GODZINY WYBUCH
 - XVI. UCIECZKA
 - XVII. ZEGAR ŚMIERCI
- EPILOG

I. STRASZLIWY CIOS

Pochylił się nad nią, bardzo nieśmiało nakrył wargami jej usta, lekko rozchylone, wilgotne ponętne.

– Mario, kocham cię!

Stłumionym ze wzruszenia głosem zaczął jej mówić o swojej wielkiej miłości, ale te słowa nie wywarły na niej żadnego wrażenia; pozostała nieczuła, zimna, opanowana, jak zawsze. Jak zawsze, jego żarliwe zapewnienia, zaklęcia odbijały się, niby piłki od pancerza kamiennej obojętności, w jaki uzbroiła swoje serce... po śmierci męża.

– Pożadam cię, Mario – ciągnął dalej zdławionym szeptem, zbliżywszy usta do jej kształtnego, rasowego ucha...

Spokojnie, trzeźwo analizowała każdą sekundę swoich przeżyć, ale na zewnątrz pozostała bezduszną lalką. Nie oddawała mu pocałunków, nie reagowała zupełnie na pieszczoty, które stawały się coraz śmielsze, coraz gorętsze. On zaś zachęcony jej absolutną biernością, żałował w duchu, iż dotychczas był zawsze tak nieśmiały. Bowiem dzisiaj po raz pierwszy odważył się ją całować. Pierwszy raz od owej pamiętnej nocy, w którą jej mąż zginął tragiczną śmiercią w Biarritz.

– Nareszcie! Kochanie, nareszcie! – bełkotał w upojeniu. – Na ten błysk szczęścia czekałem cały rok!

Wpił się ustami w jej usta, równocześnie jego dłoń drżąca z niecierpliwości błędziła wśród fałdów sukni...

– Obejmij mnie!... Przytul!

Toczone, śniade ramiona, rozkrzyżowane na tapczanie w pozie pełnego bezwładu, uniosły się posłusznie, ale bez pośpiechu i objęły mężczyznę za szyję.

– Dobrze ci, maleńka?

Nareszcie raczyła się odezwać:

– Ani dobrze, ani źle... Obojętnie – ziewnęła.

– Nieprawda! – krzyknął, gdyż dopiero co dostrzegł żywy błysk w jej oczach, które dotychczas nawet go zauważyć nie chciały i patrzyły uporczywie w sufit pokoju. – Nieprawda! Ty tylko robisz z siebie posąg, ale w twoich żyłach pulsuje krew gorętsza niż moja! Przekonam cię o tym.

– Och, przekonaj, przekonaj! – wybuchnęła i luźny oplot jej ramion dokoła jego szyi zacieśnił się nagle...

Wtem... w najbardziej krytycznym momencie... otworzyły się drzwi, ktoś trzeci wkroczył do sypialni.

– Co pan robi! Ja nie dam bić mamusi!

Oboje zastygli w bezruchu. Na progu stała czteroletnia córeczka Marii Deplat, trzymając oburącz czerwoną piłkę, dużą jak futbol.

– Wyjdź stąd! – wrzasnęła z wściekłością. Równocześnie Maria odepchnęła go od siebie, usiadła na tapczanie i szybko obciągnęła sobie suknię, podwinęła wysoko poza kolana. – Wyjdź! – powtórzył.

Lecz dziewczynka ani myślała usłuchać. Nie patrząc w jego stronę, przybiegła do matki i skryła się w jej ramionach.

– Mamusiu, czy on ciebie chciał udusić? – spytała.

– Ależ skądże! Cóż ty pleciesz, Ludwisiu! Pan Tadeusz tylko... tylko... – nie znalazła odpowiedniego kłamstwa, spojrzała prosząco na bladego z gniewu mężczyznę – tylko...

– Tylko żartował – dokończył za nią. – Widzisz, Ludwisiu, mocowaliśmy się z mamusią, tak dla zabawy. – Udało mu się bez trudności wmówić w dziecko wszystko, co chciał. – A teraz idź sobie, mała...

– Nie chcę... Nie pójdę – przytuliła się do matki.

– Proszę cię, każ jej wyjść natychmiast, – rzekł po angielsku. – Nie podrywaj mego autorytetu u dziecka. Skoro wydałem takie polecenie, nie możesz go zmieniać... Później ją tu zawołamy, jeśli chcesz.

Maria skinęła głową potwierdzająco i łagodnie, ale stanowczo poleciła córeczce odejść. Tym razem Ludwisia nie stawiała oporu. Lecz, zamykając za sobą drzwi, obrzuciła mężczyznę wzrokiem tak pełnym urazy, że Maria nie mogła powstrzymać się od zrobienia uwagi:

– Ludwisia nie cierpi cię żywo!owo!

– Nawzajem! – odburknął. Przez chwilę przechadzał się po pokoju, potem podszedł do zamysłonej kobiety. Objął ją w pól, ale wyslizgnęła mu się natychmiast i uskoczyła za tapczan. Jej spojrzenie powiedziało mu niedwuznacznie, że musi sobie wybić z głowy zamiar wznowienia przerwanej sielanki. – Przez tę nieznośną smarkulę! – warknął, zaciskając pięści. – No, już ja ją wezmę w karby ostro!

– Nie weźmiesz!... Nie weźmiesz jej w karby z tej prostej racji, że ja za ciebie za mąż nie wyjdę.

– Mario – spojrzał na nią z wyrzutem – znów chcesz mnie dręczyć? Nie dawniej jak wczoraj ustaliliśmy datę naszego ślubu, a teraz znowu...

– Teraz zmieniam decyzję – wtrąciła. – Ta mała scenka otworzyła mi oczy... Nie kocham cię, o tym wiesz dobrze. Jeżeli pomimo to miałam poślubić cię, to tylko przez wzgląd na Ludwisię, którą kocham nad życie!... Chciałam jej dać dobrego opiekuna, drugiego ojca. Ojca! A ty byłbyś dla niej surowym, niesprawiedliwym ojczymem, jak przekonałam się przed chwilą. – Mówiła to bez cienia afektacji, spokojnie, chłodno, lecz z nieubłaganą stanowczością. – I dlatego, drogi Tadiusz, będziemy nadal tylko parą dobrych przyjaciół... Kto wie, może zostanę twoją kochanką. Ale żoną, nie! Nigdy!

Ogłuszony, przybity, słuchał tych słów ze zwieszoną głową. Nazbyt dobrze znał Marię, by się mógł ludzić, że to chwilowy kaprys. Już raz odcierpiał karę rocznego „wygnania” i niełaski. O, tak; na własnej skórze poznał apodyktyczność tej kobiety. I nie do niej czuł żal w tej chwili, lecz do jej dziecka, które dziś mimowolnie spowodowało ten konflikt, właściwie błahy, a jednak brzemienny w następstwa...

– A teraz odejdz, przyjacielu. I nie przyjeżdżaj tutaj, dopóki o tym wydarzeniu nie zapomnę, dopóki cię sama nie wezwę.

– Dobrze – odrzekł po chwili uciążliwego dla obojga milczenia; – przetrzymałem cały rok niesprawiedliwej banicji, odcierpię więc i tę nową karę. Ale ja, również nieprędko zapomnę, komu ją zawdzięczam, i kto dziś stanął na drodze naszego szczęścia. Do widzenia Mario...

Po jego odejściu przez długi czas rozmyślała nad tym, czy jej pochopna decyzja była rzeczywiście słuszna. I orzekła, że tak, bo...

– Bo ja go przecież nie kocham! – Czy tak jest naprawdę, tego jednak zupełnie pewna nie była; samo wspomnienie niedawnych pocałunków wywoływało luby dreszczyk i przyspieszony rytm serca. – No cóż, każdy mężczyzna, który w danej kobiecie nie budzi fizycznego wstrętu, może wywołać taką samą reakcję – zachnęła się i wyszła z pokoju.

Ludwisi w mieszkaniu nie było, Maria wyszła więc do ogrodu. Ogród ten był wąską, a długą „kiszka”, opadającą dość stromo wraz z całym wschodnim zboczem wzgórza St. Cloud ku Sekwanie. Dzięki tej jego wąkości, Maria zstępując na dół widziała całą przestrzeń pomiędzy obydwoma płotami. Widziała ją tym lepiej, że nie było tu żadnych krzewów, a tylko jarzyny i kwiaty.

– Ludwisiu! Odezwiąj się, dziecko – wołała raz po raz, rozglądając się na wszystkie strony. – Mamusia cię szuka, Ludwisiu!

Na próżno! Radosne „tu jestem”, nie zabrzmiało tym razem, jak wczoraj, jak codziennie. A zmrok zapadał szybko...

W dolnej części ogrodu rosły stare drzewa. Było tam więc prawie ciemno i zaniepokojona Maria nieomal wpadła na płot porośnięty bluszczem. Następnie, posuwając się wzdłuż sztachet, dotarła do furtki, która zawsze była zamknięta na zasuwkę. A teraz odemknęła się sama ze złowieszczym skrzypnięciem zawiasów, zaledwie Maria dotknęła dłonią klamki.

– Ludwisiu! – Tknięta złym przeczuciem, wypadła na drogę, pustą w tej chwili, jak wymiótł. Po drugiej stronie drogi rósł wąski pas krzaków. Poza nim ciągnęła się jeszcze żelazna poręcz, do której tu i ówdzie były przywiązane czółna. – Ludwisiu! Ludwisiuuuu!

Rozpaczliwe wołanie szło lewym brzegiem Sekwany, aż nagle zakończyło się jękiem bólu i zgrozy. Bo w maleńkiej zatoczce, przy ujściu jakiegoś kanału do rzeki kręciła się w widłach na pół zatopionej gałęzi... wielka, czerwona piłka. Piłka Ludwisi Deplat!

– Moje dziecko... utonęło!!! – wykrztusiła Maria i, złamana tym strasliwym ciosem, runęła bez zmysłów na ziemię...

II. NIEZBITY DOWÓD WINY

Gaston Mortier obejrzał przede wszystkim furtkę, jej zardzewiały zamek i potężną zasuwę, umieszczoną stosunkowo bardzo wysoko.

– Czy czteroletnie dziecko miałoby na tyle siły, by choćby oburącz tę sztabę odsunąć? – spytał głośno i natychmiast sam sobie odpowiedział; – Nonsens!... Czy wogóle mogłoby rączką sięgnąć tak wysoko? Drugi nonsens! A zatem tę furtkę musiał otworzyć człowiek dorosły... Kto?

– Ja nie, przysięgam! – odezwała się Joanna, służąca Marii Deplat. – Mnie tutaj nie było od południa. Zaraz po obiedzie odjechałam statkiem do Paryża, do chorej siostry, a wróciłam dopiero przed chwileczką, jak wszyscy widzieliście... Przy mnie Ludwisia nie pozostałaby bez dozoru i nie byłaby wpadła za piłką do rzeki...

– Ach, wy sędzicie, że piłka stoczyła się po brzegu, a dziecko, chcąc ją wyciągnąć, wpadło do wody samo?

– Czyżby pan komisarz był innego zdania?

Gaston Mortier bynajmniej nie był innego zdania, ale najprostsza hipoteza, hipoteza nieszczęśliwego wypadku nie uśmiechała mu się wcale. Bo i jakaż z niej korzyść dla energicznego, ambitnego komisarza policji? Żadna! Za to hipoteza zbrodni rokuje zawsze najpiękniejsze nadzieje, wiadomo... Dlatego właśnie na pytanie Joanny, Gaston odpowiedział z ogromnie tajemniczą miną, że „niestety” on musi być zupełnie innego zdania.

Potem skinął na towarzyszącego mu policjanta, który niósł dużą acetylenową lampę, wyszedł wraz z nim na drogę i zaczął się posuwać wzdłuż niskiego, żywopłotu, oddzielającego drogę od równoległego z nią lewego brzegu Sekwany. Za nimi kroczyła cała gromada mieszkańców St-Cloud, w którym jak to bywa w małych miasteczkach, wieść o utonięciu małej Ludwisi rozeszła się lotem strzały.

– Ani jednej dziury nie widzę.

– Dziury?! W czym panie komisarzu?

– W tym żywopłocie. A czyż słabe, czteroletnie dziecko potrafiłoby się przedrzeć przez zaskakujące tak gęstych i kolczastych krzaków? Nonsens! – Udawał, że nie widzi sunącej za nim procesji ciekawskich, że nie słyszy wrzenia, jakie w tłumie wywoływały jego częste, tendencyjne uwagi. – Pas tych krzewów jest zbity, nie do przebycia dla takiej maleńkiej dziewczynki. Lecz równocześnie jest niski i wąski na tyle, że dorosły człowiek może go bez trudu przeskoczyć. Nawet z dzieckiem na rękę!

Tubalny głos Gastona posłyszano na rzece i jedno z czółen rybackich kopnęło się natychmiast do brzegu.

– Nie ma zwłok, panie komisarzu. Ciągnęliśmy sieć wzdłuż brzegu i przeszukaliśmy wszystkie znajome nam zagłębienia. Nie ma ich nigdzie. Musiał je porwać główny nurt rzeki.

– A jakże się mogły dostać na główny nurt, skoro dziecko utonęło rzekomo tuż przy brzegu? I czemu piłka nie odpłynęła na środek Sekwany?

– Ano juźci! To dziwne. Jak się to mogło stać?

– Po prostu tak – myślał głośno Gaston, lansując wytrwale swoją hipotezę zbrodni – że piłkę wrzucono do wody tuż przy brzegu, a dziecko bliżej środka rzeki...

– Dziecko wrzucono do wody?! – W tłumie zawrzało. Kto mógł popełnić tak ohydny zbrodnię? Jakiś zwyrodnialec? Czy służąca? Czy... czy może sama matka?!... Tłum nie oszczędza nikogo, byle nasycić swój wieczny głód sensacji. O tym Gaston Mortier wiedział doskonale i chciwie, bardzo chciwie nadśluchiwał. A wpół godziny później wkroczył do sypialni Marii Deplat, przy której czuwał lekarz.

– Panie doktorze, czy mogę zadać pacjentce kilka pytań?

– Tak! – krzyknęła matka Ludwisi. – Proszę pytać.

Pierwsze pytania dotyczyły owej furtki w ogrodzie, aż nagle z ust komisarza padło zdanie, które twarz nieszczęśliwej matki powlekło trupią bladością.

– Pan twierdzi, że moją córkę... o Boże, ja oszaleję!...

– Bynajmniej nie twierdzę, – zastrzegł się szybko, – ale wszystko zdaje się wskazywać na to, iż...

– Ludwisię zepchnięto do rzeki?! Ooch! Nie, to niemożliwe! Któż mógłby dokonać tak potwornej zbrodni?!

– A kogo by pani ewentualnie podejrzewała?

– Ja? – Przestała płakać, poruszyła głową poziomym ruchem. – Nikogo... nikogo...

– Jednakże pani musi wiedzieć najlepiej, komu zależało na śmierci Ludwisi, komu ona, że tak powiem, zawadzała!

– Absurd! Komuż by takie małe, niewinne dziecko mogło zawadzać na świecie. Moi znajomi przepadali za nią wszyscy!

– Wszyscy?! Bo mnie na przykład wiadomo, że Ludwisia żaliła się wobec pani sąsiadek, iż dzisiaj... podkreślam: dzisiaj, ...spotkała ją wielka przykrość ze strony niejakiego pana Juchnowskiego, który...

– Tadeusz?! – Maria Deplat usiadła gwałtownie na tapczanie i szorstko odepchnęła lekarza. – Precz! Nie przeszkadzać! Pozwólcie mi zebrać myśli. – Ukryła twarz w dłoniach, przez chwilę milczała, potem zaczęła mówić cicho, powoli, ale dobitnie; każde słowo było tu snadź przesiane przez sito głębokiego namysłu.

– Kiedy mu oświadczyłam, że nie zostanę jego żoną, gdyż byłby złym ojczymem dla mojej Ludwisi, wówczas pobladł z gniewu i zawołał: „Nie zapomnę nigdy, kto dzisiaj stanął na drodze mojego szczęścia”... I wybiegł z pokoju, zaciskając pięści... A w godzinę później stwierdziłam, że Ludwisia... – Oderwała dłonie od twarzy. Jej pierwsze spojrzenie padło na Gastona Mortier, który notował coś skwapliwie i z triumfującym uśmieszkiem potakiwał. Pomimo całej swojej rozpacz, Maria Deplat zreflektowała się od razu. – O, Boże! Czyż mogę rzucać tak straszne podejrzenia na...

– Pani wybaczy – Gaston przerwał jej wyniośle – ale to ja! Ja pierwszy skierowałem podejrzenia o zabójstwo małej Ludwisi Deplat na Tadeusza Juchnowskiego. Ja!... Pani zeznania są zaledwie skromnym ogniwem w długim łańcuchu dowodów winy tego pana.

Prawdę mówiąc, to ów „długi łańcuch dowodów” nie istniał nawet w wyobraźni Gastona Mortier, lecz ambitny komisarz policji nie przejmował się tym zbytnio.

– Procesy poszlakowe ciągną się dłużej i bardziej emocjonują publiczność – kalkulował sobie, pędząc autem do Paryża. Co to za ruch będzie w naszym St-Cloud! Najazd reporterów, fotografów, wywiady, tasiemcowe sprawozdania z rozprawy. – Na myśl o tym uśmiechnął się błogo. Oczyma duszy widział już nawet w prasie notatkę, której autor wyraża swoje

zdziwienie, że tak genialnego komisarza policji, jak Gaston Mortier marnuje się w małej dziurze, zamiast przenieść go natychmiast do stolicy, na stanowisko odpowiadające jego zdolnościom! Po takiej notatce awans murowany! We Francji, na szczęście, wszelkie miarodajne czynniki „liczą się ogromnie z opinią prasy”...

Już po godzinie dziesiątej w nocy przybyła policja do mieszkania Tadeusza Juchnowskiego, przy Avenue de Messine 12. Dozorca kamienicy był zdumiony tą wizytą. Lokator Juchnowski nie miewał dotychczas nigdy do czynienia z policją.

– Pana Juchnowskiego nie ma, proszę panów. Wyjechał.

– Kiedy?

– Przed niespełną godziną.

– Czy wyjeżdża często?

– Nie. Tylko w lecie. Aż dzisiaj wieczorem całkiem niespodziewanie kazał mi spakować manatki i odjechał do Polski.

– Słyszysz pan? Czy to nie jest niezbitym dowodem jego winy? – rzekł Gaston Mortier do swego paryskiego kolegi, który dotychczas odnosił się bardzo sceptycznie do hipotezy zbrodni w St-Cloud.

– Do Polski? – Jeden z agentów spojrzał na zegarek. – Może byśmy jeszcze zdążyli nakryć go tutaj?

– Musimy zdążyć!... Dwóch panów pozostanie tu i przeszuka troskliwie mieszkanie Juchnowskiego. Może pan kolega zostanie?

– O, nie! – Gaston czym prędzej wskoczył do auta. – Wolę być z panem na dworcu... Ba, ale na który dworzec pojedziemy?

Komisarz VIII dzielnicy spojrzał z politowaniem na kolegę z St-Cloud.

– Przystępca ucieka do Polski! – przypomniał mu z naciskiem. – A więc może odjechać tylko z Dworca Północnego. To u nas wie każde dziecko. – Potem huknął na szofera. – Gare du Nord! Syrena jednym ciągiem i pełnym gazem naprzód! Musimy zdążyć!

III. PRASA MA ŻER

Tadeusz Juchnowski kończył właśnie jeść kolację, kiedy do jego stolika podszedł jakiś niski jegomość i bez ceremonii usiadł naprzeciw niego.

– My się skądś znamy – zaczął prosto z mostu.

– Bardzo wątpię – odburknął Juchnowski i przezornie przysunął do siebie teczkę – nie miałem przyjemności.

– Miał pan, miał, na pewno! Zeszłego roku. Najpierw w Biarritz, ...No? Jeszcze mnie nie poznajesz, Alfonsie?

– Pan się stanowczo myli. Owszem, byłem w Biarritz w ubiegłym roku, ale...

– Ale nie jest pan Alfonsem, nawet przez duże „a”. Tym lepiej. Mam dziwną abominację do tego imienia...

Juchnowski zaczął się rozglądać za kelnerem. Zamierzał zapłacić i pójść do wagonu. Ten nieznajomy jegomość, pijaniusienki, jak bela, zanadto sobie zaczynał pozwalać, a nie miało najmniejszego sensu wdawać się w awanturę z pijanym. Zwłaszcza teraz!

– Tak, kochasiu, masz rację – ciągnął dalej – nie Alfons ci było, tylko Adolf. Senor don Adolfo de Kryminał... Pardon! De Cárcer. No, zgadza się teraz? A widzisz, przyjacielu! Tak, ja mam kolosalną pamięć. Do wszystkiego, oprócz swoich długów... Nie wierzysz? No to wyliczę ci zaraz wszystkich bohaterów mojej głośnej przygody w Biarritz. Uważaj: Blanka Ersing, Gustaw Ersing, Karol Fech, to czarne charaktery. Dalej Maria Deplat, jej niefortunny wielbiciel Tadeusz Juchalkiewicz...

– Juchnowski!

- Juchalkiewicz, mówię, a ja mam pamięć fenomen...
- Możliwe, ale w tym wypadku pana zawiodła. Moje nazwisko brzmi: Juchnowski!
- Jak to, pańskie? Pan nie jest senior don Adolfo de Paka... Pardon, de Cárcer? Na pewno?

– Całkiem na pewno – Juchnowski był teraz szczerze ubawiony tym dialogiem. Głowił się tylko, kim jest ten pocieszny jegomość. Jego szczupła twarz, przypominająca w wyrazie pyszczek gryzonia wydawała mu się istotnie skądś znajoma. I te małe, chytre oczka!

– No tak – zgodził się tamten – należy przypuszczać, że pan pamięta swoje nazwisko lepiej niż ja, który z racji swojego zawodu muszę mieć w głowie całą księgę adresową... Więc pan się wabi Juchnowski. – Nagle zerwał się od stołu i objął Tadeusza za szyję. – Ależ w takim razie pan jest także Polakiem! I gęgamy obydwa po francusku, zamiast... Rodaku, dajże pyska! – krzyknął po polsku i, ku zdumieniu podróżnych obecnych w tej chwili w restauracji kolejowej, zaczął „świeżo odkrytego” ziomka całować z dubeltówki i ścisnąć.

– No a ja, czy dowiem się w końcu, z kim mam przyjemność? – rzekł Tadeusz, uwolniwszy się wreszcie z tych objęć.

– Jam jest Rafał Królik! Tak, tak, przyjacielu. Ten sławny detektyw, ulubieniec seniorit i pogromca byków to właśnie ja! Czytał pan chyba o moich przygodach?

– Oczywiście! A co pan obecnie porabia w Paryżu?

– Szukam cwaniaka, który świsnął milion złotych.

– Ładna sumka. I co, wpadł pan już na trop złodzieja?

– Diabła tam – westchnął Rafał – to wyjątkowo ciężka sprawa. Nie mówmy o niej, bo stracę humor. A nie chcę go stracić teraz, gdy spotkałem miłego rodaka, z którym, w co nie wątpię ani chwili, lumpniemy, się dzisiaj na całego. Do rana!

– Niestety – odparł Juchnowski, – będziemy musieli odłożyć sobie tę przyjemność do... Warszawy. Bo dzisiaj stąd wyjeżdżam... Proszę płacić – zwrócił się do przechodzącego obok kelnera.

– Protestuję! Pan dzisiaj nie wyjedzie. Chcę oblać...

– Ależ ja mam już bilet w kieszeni, i łóżko zarezerwowane w wagonie sypialnym. – Spojrzał na ścienny zegar, powstał. – Do licha, tośmy się zagadali, no! Pociąg startuje za dziesięć minut – zaczął się niecierpliwie rozglądać – a mojego tragarza jak nie ma, tak nie ma.

– Tak to zwykle bywa. Ale ja panu chętnie pomogę zanieść te manatki do wagonu.

– Jeśli pan taki łaskaw...

Chytry Rafał wybrał najłżejsze „kawałki”, jak parasol, neseser i teczkę, pozostawiając Juchnowskiemu do dźwigania dwie ciężkie walizy, a przy drzwiach poczekalni dorzucił mu jeszcze neseser.

– Muszę mieć wolną choćby jedną rękę, nie mam peronówki – wyjaśnił, biegnąc do automatu. Tu okazało się jednak, że nie ma nic drobnych. Pośpieszył więc do kasy, zmienił banknot, powrócił do automatu, ale jak pech to pech; automat był pusty, moneta wyleciała z powrotem. Klnąc na czym świat stoi, Rafał zaczął szukać drugiego automatu, zdobył nareszcie upragnioną peronówkę i wpadł na najbliższy peron. Stojący tutaj pociąg miał odejść lada chwila, jak można było wnosić z scen pożegnania i z nerwowego pośpiechu spóźnionych pasażerów. Rafał zaczął biec. – Panie Juchnowski! – wołał głośno po drodze. – Panie Tadeuszu! Panie Juchnowski!

Przystanął w pewnej chwili. Odjeżdżał z Paryża do Polski nieraz o tej porze i pamiętał, że był to zawsze garnitur PKP. A te wagony, o charakterystycznie zaokrąglonych oknach i dachach były niewątpliwie tutejsze. Zatem ten pociąg.

– Dokąd odchodzi ten pociąg?! – wrzasnął Rafał, tknięty niedobrym przecuciem.

Oczywiście nikt mu nie odpowiedział. Na peronie panował gorączkowy ruch, podróżni żegnali się z rodzinami, konduktorzy przynaglali do pośpiechu, tragarze kłócili się o wysokość swego honorarium z oszczędnymi ziomkami, słowem każdy był zajęty sobą. Aż w

końcu wzrok Rafała, zdenerwowanego do ostatnich granic, zaczepił się na sylwetce szpakowatego gentlemana, który stał w najbliższym oknie wagonu i pracowicie nadymał ustami ogromną piłkę.

– A pan, stary koniu – huknął Rafał na niego – zamiast bawić się, jak smarkacz, nie możesz mi odpowiedzieć, dokąd ten pociąg odchodzi?!

Zaczepony nie pozostał dłużny odpowiedzi:

– A pan, stary ośle, jeszcze nie umiesz czytać? Na każdym wagonie wisi tablica! – odparł, wychylił się z okna, i Rafał wydał stłumiony okrzyk zdumienia. Ten głos słyszał już kiedyś, i ta twarz również była mu dobrze znajoma. Ale skąd?

– Ja mam genialną pamięć – powtarzał sobie w duchu, bowiem przyszło mu na myśl, że to pod wpływem alkoholu tyłu spotkanych dziś ludzi wygląda mu na starych znajomych. – A Juchnowskiego, czyż nie poznałem od razu?! – myślał i bez przerwy gapił się na „znajomego nieznajomego”. Temu jednak sprzykrzyło się to bardzo szybko. Warknął coś pod nosem, zatrzasnął okno i odsunął się w głąb przedziału. W pół minuty później za szybą ukazała się owa olbrzymia piłka, podtrzymywana przez parę małych dzieciennych rączek.

Równocześnie pociąg ruszył. Przed oczyma zadumanego Rafała defilowały na wagonach tablice z napisem: Paris – Bruxelles.

– Kto to był? Skąd ja go znam, u licha?!

Ani rusz nie mógł sobie tego przypomnieć, za to przypomniał sobie „już” po 20 minutach kontemplacji, że trzyma pod pachą teczkę Juchnowskiego, a w dłoni jego parasol. Zawrócił natychmiast do hali, złapał za poły jakiegoś kolejarza, zapytał go, z którego peronu odchodzi „pospieszny” Paryż-Berlin-Warszawa-Moskwa.

– Odchodzi zawsze z dwójki, ale dzisiejszy odszedł chyba z pół godziny temu, – brzmiała odpowiedź.

W parę minut później Rafał wkroczył do jednego z barów, których jest chyba z tuzin naprzeciw Gare du Nord. Rafał był niepokieszony; nie potrafił się opędzić myśli, że Juchnowski może go uważać za zwykłego złodzieja. Bo i dokąd mu odesłać tę przeklętą teczkę?

– Nie ma innej rady, tylko jutro zdeponuję ją w naszej ambasadzie, a dzisiaj zaleję robaka – postanowił.

Zalewanie robaka trwało z przerwami do 8 rano. Co się działo w przerwach, nie wiadomo.

– Zmieniałem lokal, nic więcej, słowo daję.

Zmieniać lokal musiał, skoro zaczął przy Gare du Nord, a rano znalazł się nagle przy Avenue de la Bourdonnais. Ale co poza tym?

– Nigdy nie przypuszczałem, że ludzie także muszą się pierzyć i linić – mrucał, obierając swój pomięty garnitur z licznych włosów i puchu, wypaproszonego z jakiejś poduszki. – Sprawdźmy tylko, azali blondyna to była, czy brunetka, czy raczej, co najbardziej do mnie podobne, i taka i siaka. – Wyprężył kilka tłustawych włosów pod światło i zaklął. Włosy były zupełnie siwe!

Otworzył parasol, gdyż lało coraz mocniej, i przez Avenue Bosquet szedł wytrwale w stronę Sekwany. Pomimo całego zamroczenia nie zapomniał, że koniecznie musi coś oddać w polskiej ambasadzie. A równocześnie głowił się nad tym, co było przyczyną nocnej libacji.

– Bo ja na ogół jestem abstynentem. Pijam tylko wtedy, gdy mam większe zmartwienie – monologował, zataczając się z lekka, „oczywiście” z powodu silnego wiatru. – Stąd wniosek, że wczoraj miałem duże zmartwienie... Ba, ale jakie?... Jakie?! – huknął z pasją. – A jakieżby inne, jak nie ten zapowietrzony milion! – Aż zgrzytnął zębami na wspomnienie tej zawilej sprawy. – Ten cwaniak zwędził same 500-złotowe banknoty. W tych warunkach cały milion mógł zmieścić w małej walizeczce. I szukaj tu człeku tego pakuneczku w takiej

dżungli jak Paryż. Absurd! Potem z rozpaczy rozpija się człowiek i nazajutrz znajduje na sobie, a tfu, siwe włosy!

Dotarł do mostu. W tej chwili wichur zaczął tak gwałtownie, że wszystkie druty parasola wygięły się w drugą stronę.

– Jeszcze i to – jęknął Rafał, biegnąc zygzakiem przez most; – och, ileż ja muszę wycierpieć przez ten milion!

Przystanął. Był już na Place de l'Alma, co poznał od razu po pomniku Adama Mickiewicza, ustawionym na środku tego placu.

– Ty jeden mnie zrozumiesz, Adamie – przemówił z emfazą, trzymając się kurczowo latarni; – tyś także cierpiał za milion!

Balansując rękoma, by utrzymać równowagę, dotarł do kiosku z gazetami. Na jego drewnianej ścianie wisiały... po jednym egzemplarzu... wszystkie poranne dzienniki paryskie. Trzy z nich na frontowej stronie przynosiły wiadomość o wczorajszym wydarzeniu w St-Cloud. Dużymi na dwa cale czcionkami były wydrukowane „obiecujące” nagłówki, jak:

STRASZLIWA ZBRODNIA W ST-CLOUD
Z ZEMSTY UTOPIŁ DZIECKO SWEJ
PRZYJACIÓŁKI!!!
POTWORNY MORD ZBOCZEŃCA!

Rafał aż splunął z obrzydzenia.

– Ohyda! – rzekł oburzony. – Taka ohyda stanowi dzisiaj żer dla prasy! Wstyd! Hańba!
– Potem westchnął. – A człowiek właśnie zarzucił reporterkę... Możeby jednak, hm... możeby się udało z tego ulepić jakiś ciekawy reportaż dla pism warszawskich?

W tej nadziei kupił sobie wszystkie trzy brukowce, usiadł na werandzie najbliższej kawiarni i zabrał się do czytania. Zaledwie jednak przebiegł wzrokiem kilka wierszy, zerwał się z krzesła, wstrząśnięty do głębi. Nie wierząc własnym oczom, odczytał jeszcze raz głośno ową notatkę:

– „Dzięki energii komisarza Gastona Mortier, potwornego zbrodniarza ujęto już w nocy, w chwili, gdy na Gare du Nord wsiadał do ekspresu Paryż – Warszawa. Jest nim Polak, nazwiskiem Tadeusz Juchnowski”...

IV. RAFAŁ JUŻ NA TROPIE

Adwokat Marcel Piardon przyjął Rafała bezzwłocznie.

– Sprawa jest zupełnie beznadziejna, co pragnę zaznaczyć na wstępie – rzekł prosto z mostu – a dobija ją to, że primo pan Juchnowski nie jest Francuzem, secundo, że zabił nie dorosłą osobę, ale dziecko! U nas, uważa pan, kwitnie specjalny kult dziecka. Dzieci to artykuł, który musimy wręcz importować, by uniknąć wyludnienia. Dlatego właśnie tysiącami sprowadzamy sobie robotników włoskich i polskich. Jak panu wiadomo, Polacy i Włosi mnożą się najbardziej. Jak króliki.

– Nie mówmy o królikach! – wtrącił Rafał Królik ostro.

– Słusznie, mówmy o Juchnowskim. Otóż, jako się rzekło, mój klient popełnił kardynalne głupstwo. Zamiast zabić tę babę...

– Jaką babę?

– No, swoją przyjaciółkę, Marię Deplat. Gdyby, powtarzam, był zabił ją, sprawa byłaby śliczna! Byłbym dowiódł, że ona go zdradzała, że w porywie zazdrości... Ech, panie, w tym wypadku mógłbym ręczyć nawet za wyrok uniewinniający! Bo powiedziałbym sędziom: „Dziś ona, jutro wasze żony będą robić to samo, jeżeli wy jego potępicie! On stanął na straży

moralności! Ukarał cudzołożnicę! I za to chcielibyście go karać? Wara, panowie!” Wara, i tak dalej, i tak dalej, a potem: „W interesie waszych ognisk rodzinnych proszę o uniewinnienie mojego klienta”... No, jak się to panu podoba?

– Wprost brak mi słów – odparł Rafał dwuznacznie.

– A widzi pan... Niestety mój klient...

– ...nie zapytał pana przedtem o radę.

– Otóż to! Zamordował dziecko. Świętość we Francji!

– Pytanie, czy on zamordował. Gdzie dowody?

– A jego nagły wyjazd z Paryża?... Mój klient wprawdzie twierdzi, że postanowił wyjechać z Paryża już rano, zanim udał się do St-Cloud. Że dowody na to posiadał w teczkę, którą mu na dworcu... jakie to naiwne tłumaczenie się!... którą mu zwędził jakiś złodziej.

– To nieprawda! – oburzył się Rafał. – Juchnowski powierzył swoją teczkę bardzo uczciwemu człowiekowi, któremu jednak w parę godzin później skradła ją jakaś... jakaś siwowłosa ladaczniczka.

– Tak, czy owak, teczki nie ma.

– Niestety – westchnął zgnębiony Rafał – jest tylko parasol, w dodatku połamany. Żle się stało, panie Pierdon...

– Piardon! – poprawił go adwokat. – Krótko mówiąc, Juchnowskiemu grozi gilotyna. Nieuchronnie! Chyba, że pójdzie za moją radą, przyzna się, okaże skrucę, opowie jakąś wzruszającą historię o ojcu alkoholiku i matce epileptyczce, o swym smutnym dzieciństwie, dziedzicznym obciążeniu, itd. itd. Oto jest wytyczna linia mojej obrony!

– A jeśli nie on dziecko zamordował?

– Ech, panie, panie – zniecierpliwził się mecenas – niechże pan nie komplikuje sprawy, wręcz klasycznej w swej prostocie! Dołożę wszelkich starań, by mój klient zamiast wyroku śmierci otrzymał dożywotnie więzienie. To chyba wystarczy!

– Tak, to mu na pewno wystarczy – przyznał Rafał z ciężkim westchnieniem, a opuściwszy w pół godziny później gabinet wymownego adwokata, wzniosł oczy nabożnie do nieba. – Jeśli i ja kiedyś, na psa urok, wejść w konflikt z kodeksem, karnym, – wyszeptał z przejęciem – natenczas, o święta Temido, broń mnie przed takimi obrońcami, jak maître Piardon; bo prokurator mniej mi zaszkodzi, amen.

W teczce Juchnowskiego znajdowała się korespondencja, z której miało wynikać niezbitcie, że niefortunny wielbiciel Marii Deplat już dawno nosił się z zamiarem wyjazdu do Polski, że postanowił wyjechać właśnie wczoraj, zanim złożył narzeczonej pożegnalną wizytę, że zamierzał uporządkować swoje interesy w kraju przed ślubem, który miał się odbyć oczywiście w Paryżu, itd. itp. Trudno było przewidzieć, jakby się sędzia śledczy odniósł do tych dokumentów, niemniej mogły się one bardzo przydać oskarżonemu.

– A ja, supercymbał, je zgubiłem – martwił się Rafał; po namyśle postanowił twierdzić, że teczkę zgubił w tramwaju, co było mniej kompromitujące niż wyznanie prawdy, iż on, znakomity detektyw pozwolił się okraść jakiejś leciwej córce Koryntu. – Za pokutę muszę zdobyć dowody niewinności tego nieboraka. Choćby on naprawdę był zabójcą tej małej.

Powziąwszy taką decyzję, natychmiast wszedł na rzeczny statek i w godzinę później wylądował w malowniczym St-Cloud. Po dłuższej rozmowie z Marią Deplat, którą znał osobiście z Biarritz, udał się do jej ogrodu w nadziei, że może tutaj znajdzie coś takiego, co rzuci choćby promyczek światła w mroki tajemnicy, jaka spowiła wczoraj nagle zniknięcie maleńkiej Ludwisi Deplat. Ogród, zwłaszcza w dolnej części, był zdeptany i przeszukiwany skrupulatnie kilka razy, lecz bystre oko Rafała dostrzegło w końcu coś, co dotychczas nie zwróciło niczyjej uwagi. Mianowicie maleńką kuleczkę papieru. Kiedy ją rozwinął, stwierdził z rozczarowaniem, że to tylko stary bilet tramwajowy. Już miał go odrzucić, kiedy nagle uderzyło go, że ten bilet jest zupełnie inny, niż charakterystyczne „karnety” tramwajów i autobusów paryskich. Obejrzał go uważniej, jął chwiać głową ze zdziwieniem.

– Po holendersku to, czy po flamandzku? – zastanawiał się, aż w rogu biletu znalazł francuski napis: ANVERS – Antwerpia?! Skąd się to wzięło tutaj? Skąd w St-Cloud bilet tramwajowy z głównego portu Belgii?!... Belgia, Belgia, zaraz... ach, wiem! – W drodze asocjacji myśli przypomniał sobie wczorajszą omyłkę na dworcu; ów pociąg odchodził do Brukseli, stolicy Belgii. – Ale co ma piernik do wiatraka? Że też ja zawsze muszę myśleć tak chaotycznie – zżymał się na siebie, nie przeczuwając na razie, że jest na właściwym tropie...

W parę minut później przy furtce spotkał Joannę, opowiadającą chyba po raz setny historię tragicznej śmierci dziecka. Poczciwa piastunka zaginionej Ludwisi rozplątywała się w łzach, co działało nader zaraźliwie na grono kumoszek-słuchaczek.

– Mecenas Piardon miał rację; we Francji dziecko to świętość – mruknął Rafał, przysuwając się do grupy niewiast.

– Biedactwo z dawna już przeczuwało, że umrze – mówiła właśnie Joanna.

– Co wy powiadacie! – dziwiły się kobiety. – Przeczuwała! I mówiła wam o tym?

– A jakże! Więcej niż z pięć razy mi mówiła, że widziała ojca i...

– Niby tego, co się spalił w Biarritz?

– Przecież nie miała dwóch ojców! Moja chlebodawczyni nie jest żadną puszczalską, proszę pani!

– Ależ ja... bynajmniej... wprost przeciwnie... tylko...

– No, już nie gniewam się, nie gniewam. Jak człowiek jest w żałobie, to i serce ma miękciejsze, i łatwiej przebaczy. Dlatego też...

– Czekać no, Joanno, bo mi się wszystko pokiełbasi w głowie. Więc Ludwisi śnił się jej ojciec, powiadacie?

– Ano rozumie się, że jej się przysnił, choć mała powtarzała z uporem, że nie spała wtedy, że ojca widziała na jawie...

– Brrr! Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie... I co, pani Joanno? I co? Mówił coś do niej?

– Podobno mówił. Że ją niedługo zabierze do siebie...

– Jezus, Maria! No, to jej wyprorokował tę śmierć wczorajszą! Zabrał ją do siebie, do... jak myślicie?... Chyba do nieba, co?

– Nie! – wrzasnął Rafał, który przysłuchiwał się temu dialogowi z takim „samopoczuciem”, jakby stał na rozżarzonych węglach.

– Takie niewinne dziecko – zaperzyła się Joanna – i nie zabrałoby go prościusieńko do nieba?!

– Nie! Nie do nieba! Do Antwerpii!!! – Rzekłszy to, Rafał palnął się w czoło, tak, że kumoszki spojrzały z uznaniem na jego wytrzymałą głowę, i popędził jak strzała do przystani statków.

– Wariat – orzekły jednogłośnie...

Wysiadłszy w Paryżu koło Placu Zgody, Rafał skierował swoje kroki do hotelu, w którym tu mieszkał od tygodnia, a zamieszkał tym razem przy Operze. Nie opłacało się więc czekać na „Métro”, ani na autobus. Poszedł pieszo, prześlizgując się zręcznie wśród tłumów przechodniów na rue Royale, aż ugrzązł na Wielkich Bulwarach, naprzeciw kina „Olympia”. Dwie rzeki aut i autobusów, każda po trzy równoległe strumienie licząca, pędziły w dwie strony nieprzerwanie, uniemożliwiając pieszym przedostanie się z jednego chodnika na drugi. Tu i ówdzie gromadzili się przechodnie, czekając cierpliwie na jakąś maleńką lukę.

– Ależ ja nie mam czasu! – krzyknął Rafał. – Gdzie policjant, u licha?! Dlaczego go nie ma na wysepce?

– Odszedł do apteki telefonować po Pogotowie; przed chwilą ktoś tam zemdłał.

– A szoferzy z tego korzystają i pędzą bez zwykłych przystanków. Ha, żeby tu był ktoś z dzieckiem...

– Prawda! Dziecko to świętość! – przypomniał sobie Rafał, omiótł wzrokiem najbliższą okolicę chodnika i przy kiosku z gazetami dostrzegł maleńkiego garbuska. Bez namysłu podbiegł doń, pochwycił go na ręce i skoczył odważnie na jezdnię. – Dziecko niosę! – ryczał, zagłuszając w ten sposób głośne protesty karła i podniósł go, jak mógł najwyżej.

Zgrzytnęły hamulce. Jakby za skinieniem różdżki czarodziejkiej cała jezdnia zamarała w bezruchu. Setki aut wyciągniętych w sześć rzędów stanęły, jak wryte i czekały grzecznie, dopóki Rafał z „swoim dzieckiem” nie dotarł do drugiego chodnika, a za nim cała falanga przechodniów, rozbawionych tym podstępem. Tylko garbusek nie podzielał ogólnej wesołości i, kiedy go Rafał postawił na chodniku, wyraził o nim swą opinię głośno:

– Wariat! To skończony wariat!

Tegoż dnia adwokat Marcel Piardon otrzymał pocztą pneumatyczną list następującej treści:

Na pewno Drogi Mecenasi!

Proszę spowodować natychmiastowe uwolnienie Juchnowskiego, jest niewinny, jak noworodek, za to ręczę ja!

Dowody jego niewinności zdobędę prawdopodobnie niebawem. Na razie oznajmiam tylko, że mała Ludwisia nie utonęła, żyje, lecz została porwana przez nieboszczyka.

Ujrzałem go wczoraj w chwili, gdy nadymał balon, ale nie poznałem go na pierwszy rzut oka. Ani na drugi. Widziałem również kawałek dziecka, mianowicie rączki.

Proszę wybaczyć telegraficzny styl tego listu, ale piszę z dworca, za chwilę odjeżdżam. Dokąd, to na razie ścisła tajemnica! Niebawem jednak odemknę jej wrota na oścież i zadziwię cały świat! Pana również.

Mocny dłońścisk załączka

Rafał Królik.

P.S.

A proszę mi natychmiast odpisać, czy Juchnowski po odzyskaniu wolności zamierza pozostać w Paryżu. Ja radzę, niech zostanie!

Mecenas Marcel Piardon wypił duszkiem szklankę wody, przetarł sobie oczy, a potem odczytał ów list powtórnie.

– Acha! Juchnowskiego uwolnić, bo on ręczy za jego niewinność; a dowodów, o ile je zdobędzie, dostarczy później. Pięknie!... Widział kawałek dziecka, ale dziecko żyje. Jeszcze lepiej!... Porwał je nieboszczyk, który, zapewne dla zabicia czasu, trudni się nadymaniem balonów. Kapitalne!... Dokąd pan Rafał Królik wyjeżdża, to ścisła tajemnica, ale mam mu zaraz odpisać. No, tak, tak – kończył swój monolog, drąc na równe paseczki list, do którego postrzelony Rafał przywiązywał niesłychaną wagę. – Ja od pierwszego wejrzenia poznałem, że to niebezpieczny wariat...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI